

Nr. 11. Cieszcie się lubym wiekiem, bo prędko uleci, Wesoło lecz na dobre użyjcie go, dzieci. 1. Czerwca.

Podróż do ziemi świętej.

Opowiem wam dzieci, jak to wygląda dzisiejsza Jerozolima i grób Chrystusa Pana, i owe święte miejsca gdzie się narodził, żył i nauczał.

Najbliższa do ziemi świętej droga jest morzem. Chcąc wszelako więcej podróżować lądem i zwiedzić zarazem kraje afrykańskie i urodzajne brzegi Nilowe, płynie się morzem do Egiptu, a ztamtąd, z stołecznego miasta Kairu, do Syrji droga prowadzi piaskami pustyni, którą przebywają podróżni zwykle na wielbłądach.

Wielbłąd to zwierz ogromny o jednym garbie. Dwugarbne znajdują się w Persji. Krajowcy zwą go d ż e m e l.

Jest on niezmiernie silny i wytrwały, żywność i wszystkie juki pakują na niego. Orszak zbierający się razem w pochód przez puszczę, zowie się karawaną. W Kairze są przedsiębiorcy karawan, z którymi robi się ugoda na najem wielbłądów i ludzi do tego a tego miejsca. Po ugodzeniu wielbłądów i kamelierów, to jest ludzi zajmujących się całą posługą i idących zwykle przy wielbłądach pieszo — należy zaopatrzyć się w namioty, dla noclegów i popasów, potem potrzeba różnych sprzętów, jako stolików i stołków składanych, beczek na wodę z wiekami zamykanemi na kłódkę, bo woda to skarb najdroższy na puszczy, gdzie przez dni wiele nie spotyka się nigdzie ni źródła, ni studni.

Pakunek wielbłąda jest cały na jego garbie; aby go nie cisnął i nie odparzał, zwierz pokryty jest wzdłuż krzyżów płóciennym czaprakiem, wypchanym grubo słomą, jakby siennikiem jakim; pod tém wysłaniem garb znika zupełnie. Na tym dopiero czapraku i to na samym garbie leży drewiana terlica, do której sznurami lub łańcuchem przymocowuje się ładunek wielbłąda. Wielbłąd wierzchowy w taki sam jak inne przybrany rynsztunek, z tą jedynie różnicą że terlica na garbie jest w kształcie kulbaki z dwiema bardzo wysokiemi, bo na pół łokcia, kulami.

Nie małe to zadanie i wielkiej znajomości rzeczy wymagające, rozdzielić bagaże, zapasy żywności i wszystkie ciężary w ten sposób aby każde zwierze stosowny do sił swoich i wieku otrzymało ciężar. Zajmujący przedstawia widok wyruszająca już w pochód karawana; wielbłądy ciągną długim szeregiem w jednakowych odstępach bo jedne do drugich na równej długości powrozach przywiązane. Szereg taki prowadzi niekiedy osiołek ale częściej mały chłopiec, których bywa kilku dla odmiany przy karawanie. W szeregu postępują tylko wielbłądy objuczone, te zaś które do jazdy idą wolno obok. Dromaderem zwie się wielbłąd używany do jazdy; jest on rasowy, szlachetniejszej krwi i używany tylko bywa jak u nas koń wierzchowy, kiedy prosty dżemel idzie zwykle stępem, dromader kłusuje niesłychanie szybko, tak iż do polowania na strusie używanym bywa. Skoro się dromader ze-

starzeje, przechodzi zwykle na dżemela, podobnie jak u nas piękne wierzchowce zaprzęgają pożniej żydzi do swoich bryk pakownych.

Posuwa się wreszcie karawana w puszczę; jak na morzu gubi się oko w niezmiernej tylko przestrzeni wody — tak tu morze piasku. Zrzadka tylko okaże się wzgórek jaki, niskiemi krzaczkami zarosły — albo obszary ostem i badylami okryte, które chciwie skubią wielbłądy. Rzadziej jeszcze zdarzy się łączka z gaikiem palmowym, zieloną trawą i wodą. Oazą zowie się taka łąka. Dobrodziejstwem boskiem są one w pustyni. Często karawanom zabraknie wody, zabłądzą, lub z upału wyschnie woda, a tu jakby cudem zdybuje się ustroń świeżą, wypoczynek i orżeźwienie.

Trwogą dla podróżnych a częstokroć zgubą niechybną, są wiatry, zowiące się tam rozmaicie, stosownie do właściwości swoich. Chamsin, Simum, Uragan, są miana tej okropnej plagi. Duszność nie do opisania i zupełna cisza w powietrzu, poprzedza wiatr taki. Obłoki przybierają kolor krwawy — piasek jak żar gorący, świeci odblaskiem czerwonym, oddychać tem powietrzem niepodobna, wielbłądy nawet smutnie pochylają głowy. Nagle ciemnieją krwawe chmury — piasek wznosi się raptem na całym obszarze i wiatr palący z wściekłością dąć zaczyna. Wtenczas podróżni owijają głowy i rzucają się twarzą na ziemię; w tem położeniu zostają póki wiatr szaleje inaczej zadusiłby ich najpewniej i tak cierpią męki duszności i pragnienie zabójcze dla niektórych. Wielbłądy klękają jedne obok drugich, ludzie skupiają się koło nich, aby z osobna który zasypanym nie został — towarzysze nie znależliby go pewnie. Wiatr znosi góry piaszczyste, przenosząc takowe na inne miejsca; kiedy się uśmierzy i ludzie dźwigną znużone głowy, z przestrachem nieraz ujrzą odkryte szkielety całej karawany i Bogu gorąco dziękują za uchowanie ich od podobnego losu. Arabowie w pochodach swoich kierują się podług słońca, gdzieżby dopytali drogi na obszarach, gdzie wiatry zawiewają wszelki ślad wydeptany w piaskach?

Niebezpieczeństwem grożnem dla karawan są także Beduini. Są to niepodległe plemiona arabskie wiodące w pusz-

czcy koczujące życie, podobne naszym cyganom — tylko że jest ich daleko więcej. Dzielą się na pokolenia i prócz Szeika, dowódzcy pokolenia, nie znają innej władzy. Między sobą wiodą zacięte walki — Uzbrojeni doskonale i odważni są bardzo. Na dzielnych dromaderach, owinięci szerokimi burnusami z białej lub brunatnej wełnej — na głowach kufie, to jest chustki, przytwierdzone postronkiem z wielbłądziej śierści, w ręku strzelby. Wyglądają dziko lecz pięknie. Dawniej bez silnej straży wojskowej nie można się było nawet puszczać w drogę. I to nie chroniło od zaczepki. Jako władzcy puszczy żądali haraczu od wszystkich przejeżdżających, a często złupili do szczętu całą karawanę. Terażniejszy wicekról Egiptu zdołał ich cokolwiek poskromić. Nie śmieją już zuchwale napadać podróżnych, zwłaszcza Europejczyków — zastąpią jednak zawsze drogę, żądając zapłaty, którą ofiarują im chętnie, lękając się większych wymagań. Ufać im jednak nie można. Źle uzbrojoną karawanę, rozbiją pewnie jeśli się uda. Na noclegach to szczególnie rozstawiają czaty, i lekają się tych nieproszonych gości.

Opowiem wam jeszcze o dziwnych złudzeniach których doświadcza się na puszczy. Gdy wzrok gubi się tylko w niezmiernych obszarach piasku, palące powietrze wysusza piersi, w tenczas okazują się złudzonemu oku w dali na puszczy krajobrazy pełne zieloności, chłodu i rzeźwiącej wody, że patrzącemu wydaje się to wszystko rzeczywistością; dopiero za zbliżeniem pierzcha ten przywid. Czasem miasta całe przedstawiają się zdumionemu oku — częściej jednak cieniste oazy oblane strumieniaml wody.

Kiedy na nocleg stanie karawana, wszystkie wielbłądy przyklękają, aby z nich zdjąć pakunki, poczem wszystkie powstają i idą na paszę. Dziwna to pasza na piasku lub skalistych pagórkach. Niewymyślne te zwierzęta i tam przecie wynajdą jakieś osty, badyle, lub trochę zeschłej trawki. Do dwóch godzin najnalej wracają same; rzadko jeśli przypadkiem znajdą lepszą paszę, kameliery iść po nie muszą. Kładą się, czyli klękają, bo to ich sposób leżenia, jeden przy drugim, w koło, łbami do środka, tak że tworzą łańcuch w okół na-

miotów, jakby straż obozu. Gdy głodne, mruczą, wtenczas daje im się po garstce bobu, który pożywają z torby płóciennej u łba uwiązanej.

Szakale do wilków naszych podobne, wyją w nocy po puszczy zdaleka głosem podobnym do dziecięcego płaczu; jeśli nie dość czujna straż obozowa, wkradną się do namiotu kalecząc okropnie. Lecz to wypadki rzadkie, częściej Beduini napadną śpiących, lub zręcznie okradną.

Przebywszy puszczę, zbliżają się wreszcie podróżni do miasta Gazy. Z tąd poczyna się Palestyna i stęsknione oczy uweseli widok pięknej, bujnej, roślinności. Stada kóz, i owiec, zalegają pastwiska. Palmy coraz rzadsze, natomiast drzewa oliwne i figi a za każdym krokiem pamiątki i wspomnienia święte dla każdego chrześcianina.

Każda studnia, każdy prawie kamień, przypomina podania biblijne. Wioski leżą zwykle na wzgórzach. Mężczyzni odziani w hałatach, lub burnusach, nie arabskich z kapuzą lecz syryjskich kwadratowych, z wyciętem na szyję półkolem, z końcami z lekka z ramion spadającemi, które za rękawy służą — na głowach turbany. Kobiety w białe owinięte płachty, z zasłonami na twarzy, w których zostawione tylko otwory na oczy.

Droga wiedzie koło Ramleh, dawniejszej Arymatei. Na czystem polu blisko drogi stoi wielka kamienna studnia. Wyschła i cała mchem porosła. Podanie mówi że to ta sama, do której spuścili bracia Józefa zanim go kupcom izmaelskim przedali. Nie daleko ztamtąd ciągnie się dolina Hebronu zkąd wysłał ojciec Józefa, aby braci szukał. Jedzie się krajem niegdyś Filistynów, kwiecistemi łąkami i dolinami w góry Judei. Tu wstępuje się w ciasne pomiędzy skałami wąwozy. Okolica dzika i samotna, kozy tylko pasą się po skałach, i zaledwie przejść mogą wielbłądy po przepaścistych parowach. Wszedłszy na gór szczyty ogarnia się okiem ową ziemię wybranego niegdyś ludu, wówczas bogatą, płynącą miodem i mlekiem, dziś tu tylko kamienie i ciernie, nędznych kilka osad zawieszonych na wzgórzach.

Za wsią Keriath el Enab ciągnie się dolina Jeremiaszową zwana. Tu wielki ten prorok spiewał żale swoje nad upadkiem

ojczyzny — tu gruz każden jest świętą pamiątką. Dalej widać Betsames i Karjatarim owe wzgórza, na których Dawid przed arką tańcował — owdzie kilka nędznych domków, miasteczko Emaus, które dolina tylko jedna przedziela od Jerozolimy. Dolina ta sławna zwycięztwem Dawida nad Goljatem. Ztamtąd wstępuje się na górę, z której odsłania się widok na Jerozolimę. Tam zwykle chrześcijanie zsiadają z wielbłądów i upadłszy na kolana witają, wiary naszej kolebkę, grobowiec Zbawiciela, miasto przez Arabów samych El — Kuts, Świętością zwane.

Jerozolima niepodobna zupełnie do miast innych; niema żadnych przedmieść, ogrodów, prosto z puszczy staje się przed jej bramami. Miasto dziś nie wielkie, w czworobok na kilku pagórkach zbudowane — opasane murem, najeżone wysokiemi minaretami — otoczone do koła nagiemi górami, szczątkami gruzów i ruin.

Nigdzie widoku krzyża, bo wzbraniają tego Turcy, w których posiadaniu jest teraz kraj ten. Nie słychać dźwięku dzwonów, z wież tylko świątyń tureckich krzyczą muezyni wzywając Muzułmanów do modlitwy. Zbliżającego się pielgrzyma zaboli serce na widok grobu Pańskiego pośród twierdzy tureckiej.

Przez wązkie i kręte ulice dążą podróżni do Casa Nuova, gospody należącej do Ojców Franciszkanów. Szanowni księża radzi pielgrzymom chrześcijańskim, starają się o wszelkie dla nich wygody do wypoczynku po nużącej podróży.

Każdy radby jak najspieszniej zadowolnić duszy pragnienie, ujrzeć grób Chrystusa Pana. Klucze kościoła są w ręku Muzułmanów, za opłatą tylko otwierają go i to po zachodzie słońca nigdy.

Skoro zaś kościół otwarty, wszyscy mogą z tego korzystać. Zewnątrz budowa jego wcale nieokazała — cały otoczony zabudowaniami i przylegającemi doń klasztorami.

Po lewej stronie ode drzwi na bogatym kobiercu siedzi kilku Turków okazale ubranych w turbanach, pysznych hałatach, złotolitych pasach. Są to poborcy owej opłaty od wej-

ścia. Siedzą poważnie, paląc fajki, popijają kawę i modląc się przesuwają w ręku paciorki.

O kilkanaście od nich kroków leży kamień namaszczenia, na którem ciało Chrystusa Pana przez Józefa z Arymatei i Nikodema, wonnemi olejkami, namaszczonem było, kamień ten nadkruszali dawniej pielgrzymi dla uzyskania świętej pamiątki. Aby temu zapobiedz, pokryty dziś jest płytem marmurowym. Na czterech jego rogach, przytwierdzono bronzowe kule i wielkie świeczniki. Na około sklepienia wiszą lampy śrebrne.

O trzydzieści kroków od tego kamienia stoi nie wielki pomnik z białego i żółtego marmuru, na kształt katafalku, ozdobny łukami po obu stronach, dwadzieścia dziewięć stóp długi, a dziewiętnaście szeroki. W tym pomniku mieści się grób Chrystusa Pana. Wnętrze składa się z dwóch części. Wchodzi się naprzód przez małe drzwi od wschodu będące, do kapliczki, zwanej Anioła. W środku nie; wystaje czworograniasty kamień na stopę wysoki. Jest on częścią tej samej skały w której grób był wykuty.

Z kaplicy Anioła, mały otwór, w który zaledwie wsunąć się na kolanach można, prowadzi do samego wydrążenia w skale, gdzie był Grób. We wnętrzu Grobu świętego, cztery osoby na kolanach pomieścić się może. Po prawej stronie od wnijścia, framuga w ścianie skały wykuta; prawie połowę całego Grobu zajmuje. W framudze tej złożone było ciało Chrystusa Pana. Dziś sam grób, ściany i sklepienie, wyłożone są marmurem, tak że nic skały nie widać. Na ścianach wiszą dwa obrazy przedstawiające spełnienie świętej ofiary. U sklepienia, złote i śrebrne lampy goreją bezprzestannie, pełno posypanych świeżych zawsze kwiatów. Grób służy za ołtarz do odprawiania nabożeństwa wszystkim chrześciańskim wyznaniom. Przed drzwiami stoją we dwa rzędy bogate świeczniki.

Nabożeństwo przy Grobie świętym nieprzerwanie dniem i nocą prawić się musi, Turcy zaś nie codziennie kościół odmykają i dobrze sobie za każde odemknięcie płacić każą, przeto w kościele Grobu mieszkają księża wszystkich wyznań, i choć kościół zamknięty, nabożeństwo w nim się odprawia.

Mają oni tu swoje celki. Do kościoła przylęgają klasztory łaciński i grecki, z klasztorów jedzenie podają im przez kratę. Co trzy miesiące mieniają się ci zakonnicy z innymi.

(D. n.)

Rozmowa z kukułką.

CZŁOWIEK.

Czegoś kukać przestała,
Kukułeczko ty mała,
Gdym ja w lesie zakukał?
Pewnie'm ciebie oszukał;
Tyś sądziła że spiewa
Twoja siostra z za drzewa,
A że lepiej spiewała
Więc'eś spiewać przestała.

KUKUŁKA.

Oj! tyś mię nie oszukał;
Jam wiedziała, kto kukał,
Poznać ciebie rzecz mała,
Lecz z twym głosem we wspólce
Wstyd by było kukułce
Kukać, więc'em urwała.

Każden niech chluby w tem szuka
Co jego jest powołaniem;
Wzniosłem człowieka zadaniem
Jest mądrość, cnota, nauka...
Kukułka w lesie niech kuka.

J. S.

PIES RANIONY.

Paweł i Marynia, dzieci biednej wdowy, mieszkającej na końcu wioski, wyszły pewnego zimnego poranku w Listopadzie do lasu, po suche spadłe gałęzie. Dziedzic wsi pozwalał na to swoim włościanom, którzy nie nadużywali nigdy względności właściciela, nie łamali drzew, ani krzaków, lecz zbierali to tylko, co leżało na ziemi.

Zebrawszy tyle gałęzi, ile unieść mogli, dzieci wracały spokojnie do chałupy, ciągnąc na małych saneczkach dwie wiązki drewek, gdy nagle ujrzały ślady krwi na zmarzniętej ziemi. Z początku ogarnął je przestrach, lecz po krótkim namyśle poszły za śladem, ten doprowadził je w gęstwinę, wśród której leżał duży pies raniony. Wycieńczony ujściem krwi, pies zaledwie dyszał. Widok ten wzruszył poczciwą Marynię.



— Wiesz co, rzekła do brata, zdechnie z pewnością jeżeli go nie poratujemy.

— A cóż mamy robić — jakże go zabrać ze sobą? nie może się ruszyć—jak go tylko pociągniemy, padnie nieżywy.

— Ale ja słyszałam że psy mają twarde życie — może się da wyleczyć — patrz krew już nie idzie z rany — połóż tu drewka, a psa weź na sanki — jutro wrócimy i zabierzemy chróst.

— No jeśli chcesz, przystaję; ale matka gniewać się będzie — zostawmy lepiej tylko połowę chróstu, to będzie i wilk syty i owca cała.

— Żeby matce oszczędzić żywienia psa, będę się z nim dzielić moją strawą.

— Dobrze Marysiu! Patrz — pies duży jak ciele, musi mieć wilczy apetyt.

— Będzie nas za to pilnował — chatka nasza stoi na osobności, a gdyby nas kto napadł, nie mamy żadnego obrońcy.

— A ja od czego?

— Ty! — Wielki mi obrońca, co na przyszłą Wielkanoc zaczyna dziewiąty rok.

— Ciekawy jestem co matka powie — porządnie nas wyłaje — idziemy po drzewo, przywozimy psa — Trzeba ją bardzo przeprosić.

Dzieci z trudnością umieściły psa na sankach, biedne stworzenie nie pojmowało co się z niem dzieje. Nie miało sił do objawienia swych cierpień. Pies patrzał na dzieci wzrokiem smutnym, błagającym, przyzywającym litości. Marysia miała łzy w oczach — Gdy ruszyli w pochód, szła za saneczkami popychając je, wpatrywała się w rannego, głaskała i pocieszała jak mogła, dobierając najczulszych wyrazów. Czasami pies zamykał oczy i spuszczał łeb za obręb sanek; myślała że pies już zdycha; chciała wołać na brata, lecz wstrzymywała się z obawy żeby Pawełek nie stracił ochoty i nie porzucił psa na drodze.

Gdy przybyli do chaty pies żył jeszcze, ale nie dawał żadnych znaków czucia. Dzieciaki weszły do izby, zaczęły

całować matkę, opowiedziały jej wszystko. Kobiecina z początku cokolwiek je strofowała, lecz dała się przeprosić i zezwoliła na przyjęcie nowego gościa. Wciągnięto sanki do izby, psa złożono na słomie przy kominie, rozpalono ogień — Marynia okryła psa sukmaną i siadła przy nim — ożywcze ciepło wywarło skutek — psisko zwolna otwierało oczy, lecz zamykało je natychmiast, wydając ciężkie westchnienia. Matka obmyła ranę, przyłożyła płótnem, Marysia przystawiła mu miskę wody, i wszyscy spać się pokładli.

Przededniem dziewczynka była przy swoim kalece; zdawał jej się zdrowszym, lecz nie chciał przyjąć żadnego pokarmu. Po trzech dniach starań i pieczołowitości wypił cokolwiek mleka — w tydzień minęło niebezpieczeństwo, oczy mu się rozjaśniły, a w piętnaście dni chodził podskakując na trzech nogach, czwarta bowiem skurczyła się od rany.

Teraz Marysia zaczęła się kłopotać o wynalezienie dlań nazwiska — Przedewszystkiem chciała odgadnąć dawne; wołała na niego Burek! Szarek! Muzykant! Zagraj! Pies słysząc jej głos przybiegał na każde zawołanie — ale nie dał poznać żeby którykolwiek z tych przydomków nosił od urodzenia. Wreszcie nazwała go ostatecznie Wiernym. Zapowiedziała matce i bratu żeby odtąd jak najczęściej wołali na psa tem nazwiskiem, sama ciągle chodziła za nim powtarzając bez ustanku Wierny, Wierny chodź tu! Wierny idż — Wierny leżeć! Pies przyzwyczaił się wreszcie i zrozumiał o co chodzi.

Po kilku tygodniach wypuszczono go na dwór — stanął, obejrzał się — wietrzył, i dalej w drogę!... Nie mógł biedz prędko, podskakiwał jak mógł, lecz widocznie przedsięwziął jakąś daleką wyprawę — tak się domyślił Pawełek, który wracał z lasu i spotkał psa o kilkaset kroków za wsią. Na widok chłopca pies zmięszał się, stanął, zaczął kręcić ogonem, i czekał co dalej będzie — Paweł zatrzymał go, wyłajał — wydobył z kieszeni sznurek i przyprowadził zbiega do chałupy.

Marynia dowiedziawszy się o zamiarach Wiernego, obsypała go wyrzutami, dąsała się, gniewała — odepchnęła od siebie. Pies słuchał z pokorą, spuścił łeb, skulił się, przyznawał się widocznie do winy i przepraszał oczami. Odtąd strzeżono go pilnie i nie spuszczano z oka.

Nagle wielki kłopot spadł na poczciwą rodzinę — Marynia przez kilka dni uskarżała się na dreszcze i ból głowy — pewnego dnia dziewczątko nie mogło się podnieść z łóżka — matka i sąsiadki ratowały ją jak mogły — wieczorem dostała gorączki, wpadła w malignę, nazajutrz rano życie jej było w niebezpieczeństwie. Zapłakana matka postanowiła wezwać pomocy cerulika z sąsiedniego miasta.

Około południa Pawełek wybrał się w drogę. Wierny od chwili zachorowania swej opiekunki stracił zupełnie wesołość, leżał przy jej łóżeczku, skomlał, lizał jej ręce i nie odstępował na chwilę. Widząc przygotowania chłopca do drogi, wiedziony wrodzonym instynktem porwał się i pobiegł za nim, pomimo gniewu i wołań nie chciał się oddalić — wreszcie wrócił do chaty.

Pawełek szedł szybko, lecz jakże się zdziwił gdy zbliżając się do lasu usłyszał szczekanie — obejrzał się i spostrzegł psa biegnącego drugą stroną — Niepodobna było wracać — czas drogi, a uszedł już z pół mili. Rad nie rad zabrał psa i odtąd szli razem.

Gdy przyszli do miasta było zupełnie ciemno — Pawełek zmordowany dążył do mieszkania cerulika na drugim końcu głównej ulicy — lecz jak tylko weszli na rynek pies stanął jak wryty przed jakąś wielką kamienicą. Chłopiec wołał na niego, ciągnął, pies się opierał, nie słuchał i zaczął gwałtownie szczekać.

Po niejakim czasie, kiedy Pawełek w najlepsze pasował się z upartem stworzeniem, drzwi się otworzyły i wyszedł człowiek z latarnią w ręku.

— Medor! poczciwy Medor! zawołał przybyły, głaszcząc i całując psa, który skoczył mu na ramiona. — Proszę pana! — Jest Medor — przyprowadził go jakiś chłopiec wiejski, mówił służący zwracając się do sieni i poprowadził za sobą psa i drżącego z gniewu i niecierpliwości Pawełka. Z pokoju wyszedł poważny męczyzna — uściskał psa i w krótkich wyrazach dowiedział się od chłopca o okolicznościach wynalezienia i wyratowania Medora, oraz o powodzie przybycia do miasta w tak poźnej godzinie.

— Janie! zaprzęgać natychmiast do powozu!

— Ja biegnę do cerulika, a psa zostawiam — jak siostra wyzdrowieje przyjdziemy go odwidzieć, mówił markotny chłopczyna.

— Zaczekaj moje dziecię — jestem lekarzem tutejszym; nie chodź do cerulika, jadę z tobą do wsi.

Uszczęśliwiony chłopiec ucałował mu ręce.

W półtorej godziny doktor siedział przy łóżku Maryni. Rzeczywiście choroba była zatrważająca i tylko dzięki ojcowskim staraniom i głębokiej nauce doktora, dziewczę przyszło do zdrowia — Nie ograniczając się na tem, zacny właściciel Medora sowicie wynagrodził biedną rodzinę, chłopca oddał do szkółki, matkę wziął do siebie na folwark, który miał pod samem miastem — a Marynię gdy dorosła wyposażył i wydał za mąż za swego ekonoma.

* *

*

A zkądże się Medor znalazł raniony w lesie?

Lekarz wracał razu pewnego wieczorem od chorego. Pies biegł przy powozie, nagle spostrzegł zająca — puścił się

za nim i wpadł do lasu — Lekarz nie widział tego, po niejakim czasie usłyszał wystrzał; lecz sądząc że to zapewne myśliwi polują w lęsie, nie zatrzymał się wcale. Dopiero gdy przyjechał do domu dowiedział się o stracie psa. Kazał go wszędzie szukać, lecz napróżno. Gajowy widząc obcego psa, ścigającego w lesie zająca, chciał dokuczyć myśliwym, postrzelił niewinnego Medora i niedosyć na tem, nielitościwy i zły ten człowiek zostawił go na polu bez żadnego ratunku, i gdyby nie przybycie Marysi i Pawełka, niema wątpliwości że byłby skończył życie.

ŻAK.

Nazwanie Żak nie będzie wam, dziatki kochane, obce. Słyszałyście je zapewne nieraz, zwłaszcza gdy małych, uczących się chłopaczków niem mianowano. Wyraz ten używa się wprawdzie dziś jeszcze, i bywa czasami w żarcie zastosowany, ale rzeczywistych żaków nie ma już dzisiaj, jakiemi zwano dawniej szkolną młodzież, więc wiadomość bliższa o nich powinna was zająć.

Żakami zwano dawniej rzeczywiście studentów, ale biednych bardzo, którzy nie mieli za co pobierać nauk. Że zaś Polacy oddawna czuli wielką chęć do kształcenia się, a dawnemi czasy nigdzie jeszcze nie istniały ułatwienia w nabywaniu nauk, to zwłaszcza w dawnej Polsce bywało mnóstwo żaków. Byli to synowie ubogich rodziców. Nie mając od nich potrzebnego wsparcia, nie umiejąc sobie jeszcze zarobić na utrzymanie, starali się różnemi sposobami wyżywić. Owoż śpiewali pieśni pobożne, za co im dawano jedzenie, w garnuszki, które umyślnie na to przy sobie przywiązane do pasa nosili, udawali się też i wprost do możniej-

szych o wspomożenie. Ludzie dobrzy fundowali zakłady, gdzie biednym żakom darmo codzień jeść dawano. Jak zaś oni byli biedni, przekona was następny wiersz, który dawniej o żakach mawiano:

Żak chudzina, nic nie ma, chudy, blady, nagi,
W szkole nic nie ma, jeno łatane biesagi.

Pomimo tego ubóstwa uczyli się żacy bardzo pilnie, i wychodzili nieraz na znakomitych ludzi. Szczególniej nie mało biskupów polskich i urzędników dostojnych było początkowo żakami. Dlatego też widząc iż takie biedne studenciki wychodzą z czasem na znakomitych ludzi, chętnie wspomagali ich Polacy.

Chcąc się swoim dobrodziejom odwdzięczać za łaskę, służyli im żacy wedle możności. Więc odprawiali nabożeństwo i pieśni żałobne na grobach zmarłych, w wielki tydzień z chorągwiami i krzyżem kościelnym po wioskach chodzili śpiewając pieśni wielkanocne, za co im dawano placki i mięsiwo, które oni śmirgustem nazywali W inne zaś święta, jak w kwietną niedzielę, na wniebowstąpienie pańskie, w wielki piątek i t. d. wyprawiali różne publiczne obchody. Na Boże Narodzenie chodzili z jasełkami, różne sztuki pokazując i pieśni śpiewając, za co w każdym domu chętnie ich przyjmowano. W zapusty grali publicznie teatr, co wówczas nazywano dyalogami, a do czego brali zwykle treść z historji świętej.

Najważniejszym był dla żaków dzień pierwszego maja, który od dawna mieli wolnym od nauk, i zabawić się mogli do woli. Na ten dzień czyniono i po wsiach przygotowania na przyjęcie żaków. Wieczór zgromadzali się oni, niosąc zielone liście i wieńce, i śpiewając winszowali państwu nowego Maja. Za to oczywiście przyjmowano ich bardzo suto, bawiono i odziewano nawet.

Czasem kiedy bieda bardzo dokuczyła, chodzili żacy po wsiach i miasteczkach, spiewając różne piosnki. Niektóre z z nich przytoczę wam:

Ja mały żaczek
Wylazłem na krzaczek,
Z krzaczka wpadłem w wodę,
Zbiłem sobie o kamień brodę;

Zobaczył Pan Jezus z nieba,
Dał mi kawałeczek chleba;
I obwarzanków kupę,
I białego sera łupę.

Albo też następną:

Ja żaczek maluty
Pogubiłem buty,
Chodziłem do nieba
Za kawałkiem chleba,
Chciałem się wrócić —
Nie chcieli mię puścić i t. d.

Lecz dziś już nie zobaczycie żaka i nie usłyszycie jego piosenki. Postarano się bowiem aby biedna młodzież innym sposobem mogła dochodzić do nauki, i aby nie potrzebowała żyć w takiej biedzie. Dziś są na to różne zakłady dobroczynne, gdzie biedacy znajdują pomieszkanie i naukę. Dziś w ogóle ma każdy daleko więcej sposobności nauczania się, pamiętajcie o tem dziatki drogie, i kiedy was opadnie leniuszek, to przypomnijcie sobie jak to biedni żaczkowie w największym niedostatku żyli, aby się tylko uczyć, i darmo w domu chleba nie jeść. Ich gorliwość i pilność niech wam będzie przykładem.

Przyjaciel dzieci wychodzi dnia 1 i 15 każdego miesiąca Przedpłata w miejscu wynosi rocznie 4 Złr. 40 cnt. w. a., półrocznie 2 Złr. 20 cnt. w. a. Z przesyłką pocztową rocznie 5 Złr. w. a. półrocznie 2 Złr. 50 cnt. w. a. W W. X. Poznańskiem rocznie 3 talary pruskie. Przedpłatę miejscową przyjmuje księgarnia p. Karola Wilda. Przedpłatę pocztową (*także z W. X. Poznańskiego*) należy przysyłać **franco** wprost: *Do redakcji Przyjaciela dzieci, we Lwowie w rynku pod l. 51.*

Redaktorka odpowiedzialna Aniela Zawadzka. Drukiem K. Pillera 1862.